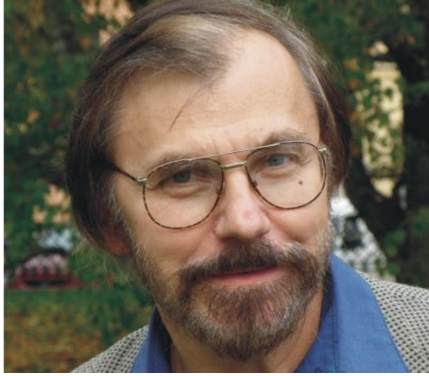


Listy do Pani A. (179)



Fot. Andrzej Dębowski

Wspomnień smutek i czar

Droga Pani!

Znowu kolejna smutna rocznica, którą muszę odnotować. Pani może jeszcze nie odczuwa, że wokół robi się coraz bardziej pusto. A ja tak. Brakuje mi telefonów Leszka Żulińskiego, naszych żartów, rozmów o poezji, o sprawach literackich pojmowanych ogólnie. Zналиśmy się tyle lat. Poznałem go w 1975 roku, kiedy to jednocześnie wydaliśmy w Instytucie Wydawniczym PAX swoje tomiki, on „Z gwiazdą w oku”, a ja „Wysokie lato”. Byliśmy młodzi, pełni nadziei oraz planów na przyszłość. To taki czas, kiedy – cytując wiersz „Ars poetica” Stanisława Grochowiaka – „Nawet śmierć jest daleka, jak była w dzieciństwie”.

Optymistyczni, przy czasami sporych dawkach pesymizmu, patrzyliśmy w przyszłość, kpiliśmy z teraźniejszości i tego, co kiedyś nastąpi. Cechował nas duży dystans do siebie i do wszystkiego, co robimy. Pamiętam, jak ku obopólnej wesołości bawiliśmy się tytułem tomu Leszka: „Z gwiazdą w oku, ze łzą w kroku”.

Niezapomniane były nasze spotkania w miodosytyni przy ulicy Pięknej. Sączyliśmy słodki trunek, gadając i przerzucając się conceptami. Kiedyś przy takiej okazji zauważyłem – krótkowidz – młodą damę siedzącą samotnie przy oddalonym stoliku. Wydawała mi się ładna. Powiedziałem Leszkowi, że zaraz zaproszę ją do stolika. Wykonałem kilka zapraszających gestów, wstałem i podszedłem do naszej (mojej) „wybranki”. Zgodziła się do nas przysiąść. Potem tak się jakoś stało, że zaprosiła nas do domu. Dama z bliska okazała się bardzo rozczarowującej urody, czego wcześniej nie dostrzegłem, a że było już bardzo późno, szybko się pożegnałem. Leszek jeszcze został. Co tam się po moim wyjściu działo, dalebóg nie wiem. Potem mówiłem Leszkowi: „jeden ometał, drugi wyłomotał”. To powiedzonko weszło do naszego prywatnego „kodu”.

Leszek miał czerwonego „malucha”, a ja „syrenę”. Wybieraliśmy się niekiedy na

wycieczki w dwa samochody. Ze mną jechał Zbyszek Dolecki. Leszek miał wtedy więcej włosów i ciemną bródkę. Powiedziałem do Zbyszka: „zobacz, jaki diabełek za nami jedzie”. To fragmenty wspomnień, kiedy świat był inny, przynajmniej dla nas. I te nasze spotkania w Łazienkach przy flaszeczce: Leszek, Zbyszek, Jurek Gajdziński...

Jeszcze nie tak dawno spotykaliśmy się regularnie w „Literatce”. Bywał tam z nami Jan Stanisław Kiczor, świetny poeta, poniekąd „odkryty” przez Leszka. Człowiek jowialny, dowcipny, w miarę złośliwy – a więc świetnie pasujący do naszego towarzystwa. Niestety i jego także już nie ma. Zmarł kilka lat przed Leszkiem.

Czytałem niedawno „Konarzewo Czartoryskich 1925-1941”. W tamtych czasach czułym się świetnie, o czym Pani już niejednokrotnie pisałem. Z panią Elżbietą z Czartoryskich Przewłocką, (i z jej mężem Januszem Przewłockim), miałem przyjemność kilkanaście lat pracować w Instytucie Wydawniczym PAX. Byli ludźmi na wskroś kulturalnymi, życzliwymi, szlachetnymi. Te czasy już niestety należą do wspomnień. A książka jest świetna. Oddaje klimat przedwojennej epoki, mentalność ówczesnych ludzi, arystokratyczno-inteligencki etos. Nie sądzi Pani, że dzisiaj bardzo tego brakuje?

Za to idiotów nigdy nie brakowało. Oto czytam dziś, że jeden z takich „mędrców” jechał samochodem z podniesioną klapą maski. Policja go zatrzymała. Dobrze, że nie zrobił nikomu krzywdy. Gdyby sam się zabił o drzewo to nawet bym się cieszył, że selekcja naturalna w gatunku „homo non sapiens” działa skutecznie. Inny idiota w skandalicznych warunkach trzymał w garażu... krokodyla. Kiedy przyjechały tak zwane „służby” jeden z krokodyli już nie żył. Drugiego uratowano. Szkoda tylko, że nie pożyłaby tego głupca. A podobnych przypadków, mniej lub bardziej drastycznych, jest wciąż mnóstwo.

Łapię się na własnej skłonności do generalizowania i pewnej przesady powodowanej emocjami. Może jednak nie jest tak źle? Uczestniczyłem w poetyckim spotkaniu z młodym, obiecującym poetą, Damianem Janekowskim. Prowadziła je znakomicie równie młoda Aleksandra Pakieła. Oboje z Damianem tworzyli świetny duet. Wiele tam było humoru, czasami melancholii, filozoficznych zamysłów. I wiersze. Głębokie, pełne egzystencjalnych refleksji, oszczędnie i celnie zmetaforyzowane. Czytał je redaktor „Więzi” Cezary Gawryś, nawiasem mówiąc mój rówieśnik i znajomy sprzed wielu, wielu lat. Cieszyłem się w duchu, że są jeszcze tacy młodzi ludzie, pełni kultury, wrażliwości, wiedzy. Oby ich było jak najwięcej. W przeciwieństwie do mas, w których dominują napakowane a często naćpane tyse karki. Głów brak.

Zacząłem zrzędzić niczym stary zgred (a właściwie czy nim nie jestem?). To paradoks, ale nadal czuję się dzieckiem, chłopcem, który jedną nogą jest w krótkich majtkach, a drugą w męskich spodniach. Tym samym chłopcem, który kiedyś założył się z kolegami, że przejdzie przez jezdnię w Alejach Niepodległości na czworakach. I przeszedł. Może bym dzisiaj

tego nie zrobił, co nie znaczy, że w ogóle nie mogę robić głupich rzeczy. Moja wyobraźnia dalej nie przestała być absurdalnie kreatywna. Oj, miałyby Pani ze mną wesoło...

Przychodzi taki moment, kiedy w pewien osobliwy sposób zmartwychwstają wspomnienia. Wbrew temu co napisałem wyżej – powracają w niezminionej formie. Jak Pani zapewne jeszcze nie wie, wydałem w kwietniu tego roku nowy tom „Epizod codzienny”. Wysłałem go między innymi Krzysztofowi Lisowskiemu, znakomitemu poecie z Krakowa; poecie, którego utwory czytałem zawsze z zachwytem. Byłem z nim w sporadycznym, listowym kontakcie. Poznałem go dawno, kiedy przygotowywałem dla Wydawnictwa Literackiego tomik „Genesis”, który ukazał się w 1985 roku. Krzysztof był jego „ojcem chrzestnym” czyli redaktorem.

Bywaliśmy razem na Listopadach Poetyckich w Poznaniu, odwiedzałem go na Targach Książki w Warszawie, gdy jako redaktor przyjeżdżał pełnić dyżury przy stoisku Wydawnictwa Literackiego. Napisał o moich tomikach kilka bardzo życzliwych recenzji do „Nowych Książek”. Tak więc wysłałem mu „Epizod codzienny”, a Krzysztof od razu odpisał mi zachęcając jednocześnie, abyśmy byli w częstszym kontakcie, informowali się wzajemnie, co u nas słychać. I teraz co pewien czas korespondujemy ze sobą. Z jednej strony to jakiś powrót do czasów minionych, z drugiej otwarcie na teraźniejszość i przyszłość. To również dowód, że prawdziwa sympatia i przyjaźń są w stanie przetrwać bez względu na odległość i czas.

Dostałem w rewanżu od Krzysztofa jego „Wieści dobre i złe”. W nocce na skrzydełku czytam: „Krzysztof Lisowski – pisarz, badacz snów i niekonieczności...” A w dedykacji napisał: „Stefanowi te sny i jawy w przyjaźni dedykuję”. Bardzo mnie tymi wierszami uradował. Podziwiam jego utwory, dawniejsze i nowe; ich prostotę, logikę kompozycji, wieloznaczność, oszczędną i niezwykle celną metaforykę. Polecam Pani tę książkę, jak i wszystkie inne autorstwa Krzysztofa Lisowskiego.

Danuta Sułkowska, krakowska poetka, przysłała mi wybór swoich wierszy „Ślady na wodzie”. Jest to wybór autorski, który ilustruje doskonale artystyczną ewolucję poetki. Wiersze stają się w miarę upływu czasu coraz bardziej krystaliczne, ekspresyjne, świetnie obrazowane; przechylają się w stronę intelektualnej refleksji.

W Krakowie ukazała się książka „Krakowska noc poetów, Almanach 51”, pod redakcją właśnie Danuty Sułkowskiej. Poetka zaproponowała mi publikację kilku wierszy w tym właśnie „Almanachu”, w dziale „Goście Krakowskiej Nocy Poetów”. Z radością skorzystałem z tej miłej niespodzianki.

I tak – jak pisze Danuta Sułkowska – woda/ codziennie opływa mnie inaczej. Nadchodzi pełnia lata, wakacje. Chyba znowu pojadę na Mazury, radując się zaskakującym zawsze pięknem przyrody. I takiej radości Pani życzę –

Stefan Jurkowski